

ANTTI TUOMAINEN

KOPALIŠMY
SOBIE GROB

THRILLER

Nareszcie krew zaczęła krążyć szybciej.

W pieszczocie gorącej wody równo napierającej na całą zanurzoną w niej sylwetkę. Jakby trafił na kogoś potężniejszego, kto znał jego wnętrze i wiedział, jak się nim zająć, jak je przytulić i ogrzać. Wyprostował krótkie, grube nogi. Wanna miała idealną długość. Napiął masywne uda i zaokrąglone łydki. Rozluźnił mięśnie. Woda sprawiała, że ciało stawało się nieważkie, spowalniała ruchy. W wieczór jak ten, po całym dniu wystawania na mrozie, miał prawo zanurzyć się w oparach kąpieli.

Na zewnątrz śnieżycy szła w zawody z wiatrem, styczniowe zimno i ciemność wysysały całe życie. Przed chwilą Pirjo wpakowała chłopców i sprzęt hokejowy do samochodu i odjechała. Po raz pierwszy od dawna cały dom należał do niego.

Poruszył prawą ręką i podrapał się po klatce piersiowej.

Oparł głowę o krawędź wanny i zamknął oczy.

Niestety, zdarza się, że z zamkniętymi oczami widzi się więcej. Wydarzenia minionego dnia i ich uczestnicy przela-

tywali za zasłoną powiek jak w chaotycznym skrócie wiadomości. Z pewnością oznaka stresu.

Otworzył oczy. Cała ta presja, wszystkie decyzje, które trzeba było szybko podjąć i wdrożyć w życie niezależnie od tego, że ktoś go w duchu przeklinał. A zawsze się taki ktoś znalazł.

Otarł pot z czoła. Gorąca woda niemal paliła mu skórę. Popatrzył w kierunku okien, na których zdążyła się osadzić cienka warstwa pary. Na ganku paliło się światło, więc przez parę widział padający śnieg. Było w tym coś hipnotyzującego i uspokajającego.

Może niektórzy w końcu zrozumieją, że nie tylko oni zawsze mają rację i muszą mieć ostatnie słowo. Może...

Obok okna przemknęła wyjątkowo gruba masa śniegu, zaraz za nią na parapecie rozprysła zmarznięta pecyna śniegu, jakby ktoś upuścił słoik pełen ziarenek pieprzu.

Śnieg po pachy, pomyślał. Odwrócił głowę i zobaczył coś, co uspokoiło go jeszcze bardziej niż śnieg. Białe kafelki i ciemnoszare fugi. Czystość i jasność wzoru, jego regularność i powtarzająca się logika. Jakie to piękne, jakie praktyczne. Największe osiągnięcia ludzkości.

O czym to on myślał? Ach tak... decyzje. Podejmowanie decyzji. Ludzie, którym nie podobały się jego decyzje. Tak to było. Kiedy czegoś chciał lub gdy chciał coś osiągnąć...

Sypialnia...

Jakby ktoś wepchnął wtyczkę do gniazdka.

Czyżby ktoś jeszcze był w domu? Raczej nie.

Tylko szum wiatru w wentylacji i fale śniegu na oknach.

Leżał nieruchomo, po chwili woda też się uspokoiła. Właśnie to jest najlepsze w kąpieli. Zatrzymał się, jakby

znalazł się poza czasem lub w jego samym środku, gdzie wszystko się zagęszczało. Znów zamknął oczy. Wdychał powietrze małymi, lekkimi porcjami. Stare powietrze na zewnątrz, świeże do środka.

Jakby ktoś nadchodził.

Nie brzmiało to dokładnie jak kroki, ale jednak coś... ktoś.

Widział wykafelkowaną ścianę, a w szparze między framugą a drzwiami odcinał się fragment garderoby. Znów usłyszał wycie wiatru w przewodach. Pewna myśl kompletnie go zelektryzowała.

Porażenie prądem oznacza płynący przez ciało strumień prądu. Porażenie to bardzo mylące słowo. Ma się wrażenie, że prąd poraża, uderza i ucieka. Ale to nieprawda. Prąd płynie. Taka jest przecież zasada. Przepływając przez ciało, prąd wypala bolesne rany, zakłóca pracę serca, napętnia płuca wodą i dusi.

Prąd zmroził mu serce, wypalił rozbuchanym płomieniem organy wewnętrzne. Rozsadził mu żyły, przeciął nerwy i zmiążdżył mięśnie.

A on trząsł się i drżał. Woda pryskała i chlapała.

Zaraz potem nastąpił... cudowny spokój. Trudno było powiedzieć, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna woda. Kołysali się razem niczym złani ze sobą.

Obok okna przemaszerował śnieżny posąg. Śnieg pokrywał go niczym rdza.

Do: Janne Vuori <janne.vuori@gloshelsinki.fi>

Od: Ból daje info <bol.daje.info@gmail.com>

Temat: Suomalahti

Drogi Janne,

przeczytaliśmy Twoje artykuły na temat malwersacji podatkowych oraz te o szarej strefie. Możliwe, że jesteś dziennikarzem, którego szukamy. A może nie. Wkrótce się dowiemy.

Na pewno słyszałeś o kopalni niklu w Suomalahti na północy Finlandii. Warto się jej bliżej przyjrzeć, zarówno obiektowi, jak i zarządzającej nią firmie. Z naszych informacji wynika, że prowadzi się tam nielegalną działalność. W firmie wszyscy o tym wiedzą. My zaś jesteśmy pewni, że chodzi o katastrofę ekologiczną.

Krótką lekcja w ramach przypomnienia: kopalnię otwarto siedem lat temu. Jej właściciel, Finn Mining, posiada jeszcze trzy inne kopalnie. Ta w Suomalahti jest jednak z wielu powodów wyjątkowa. Otwarto ją pod specjalnym patronatem państwa i biznesu. Miała być przykładem zastosowania nowych technologii, które umożliwiają efektywne i przyjazne dla środowiska wydobycie metali szlachetnych z ubogiej w rudę fińskiej ziemi. Miała wyznaczać kierunek, w którym powinno podążać całe górnictwo, stać się kluczem do sukcesu na miarę Nokii.

To wszystko kłamstwa. Prawda jest taka, że kopujemy sobie własny grób.

Jeżeli zauważymy, że traktujesz nas poważnie, skontaktujemy się z Tobą. Zapewniamy, że na tym skorzystasz.

1

Kopalnia miała średnicę kilku kilometrów, znajdowaliśmy się na jej zachodnim krańcu. Dojechałem do prawego skraju parkingu i zgasilem silnik. Wiatr smagał szyby samochodu śniegiem. Płaty wielkości rękawiczki leciały w pionie i poziomie; wirując wokół własnej osi, formowały łopoczące flagi, aż wreszcie zupełnie zbaczały z toru i atakowały niczym rój pszczoł.

– Co my tutaj robimy?

Wyjąłem kluczyk ze stacyjki.

– Szukamy prawdy – odpowiedziałem.

Rantanen skrzyżował ręce na piersi.

– Przy takiej pogodzie to na pewno łatwiejsze zadanie niż cykanie fotek.

Otuliłem się szczelniej szalikiem, włożyłem czapkę i sprawdziłem kieszenie. Telefon, notes, długopis, rękawiczki. Gdy otworzyłem drzwi, śnieg zdzielił mnie wielką, zimną łapą.

– Klucze! – usłyszałem krzyk Rantanena.

– Aparat – odpowiedziałem.

Jari Rantanen, lat pięćdziesiąt cztery; w tym wieku człowiek jest już przyzwyczajony do łatwego, obfito medialnego chleba. Człowiek szybko się uczy. Dobrego i złego. Zwyczajnie czepiają się jak rzep psiego ogona.

Dyżurka z pleksiglasu wyglądała jak przejście graniczne do niedostępnego kraju. Na jej ścianie widniały duże drukowane litery: PRZEPUSTKI. Na tyłach budynku powiewały flagi spółki górniczej. Nie wiedziałem, dlaczego musiało być ich akurat trzy, na trzech osobnych masztach.

Płatki śniegu przyklejały mi się do twarzy i rozpuszczały. Wiatr przenikał przez dzinsy i nogawki kałesonów, puchówka chroniła lepiej. Po kilku krokach miałem wrażenie, jakbym szedł przez śnieżne pole ubrany wyłącznie w kurtkę. Za budynkiem wznosiły się zakłady przemysłowe, kruszarnie, osadzarki, ługowane hałdy. Wszedłem po schodach i zadzwoniłem do drzwi. Kiedy ktoś je uchylił, ze środka buchnęła na mnie fala ciepła. Otworzył mi mężczyzna w firmowej kurtce, który z jakiegoś powodu miał na głowie kask.

– Przyszedłem po przepustkę – powiedziałem.

Był niski i ciemny; jego twarz wydała mi się zaniedbana.

– Przepustkę?

Ruchem głowy wskazałem przyczepioną do ściany tablicę wysoką na półtora metra.

– Tak tu jest napisane.

– Nie ma przepustek.

– To jak można się dostać na teren kopalni?

– Nie można.

– Jestem dziennikarzem. Piszę artykuł.

– Trzeba się skontaktować z siedzibą główną w Helsinkach. Tam pracują osoby odpowiedzialne za kontakt z me-

diami.

– A osoby odpowiadające za codzienną działalność kopalni? Chyba są tutaj.

Mężczyzna wyglądał, jakby się zastanawiał.

– Proszę zaczekać na parkingu – powiedział i zatrzasnął za mną drzwi.

Zszedłem po schodach i stanąłem obok transportera, który chronił mnie przed wiatrem – na moment zrobiłem sobie przerwę od zamieci śnieżnej.

Dziesięć godzin w drodze i lodowaty parking.

Sam tego chciałem. Od anonimowej wiadomości upłynęła ledwie doba.

– Dzień dobry.

Nie zauważyłem, kiedy do mnie podszedł. To dość dziwne, zważywszy gabaryty mężczyzny. Może śnieg wyciszył kroki, a może to przez ten wiatr.

– Janne Vuori z „Głosu Helsinek” – przedstawiłem się.

Z takimi łapskami mógłby z powodzeniem zastąpić wózek widłowy.

– Antero Kosola. Kierownik ochrony. Pan podobno zbiera materiały do artykułu.

Jego głos brzmiał tak spokojnie i ciepło, że niemal rozpuszczał śnieg dokoła. Mężczyzna miał około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu i musiał ważyć ze sto kilo. Wszystko w nim było szerokie: barki, broda, usta, nos. Tylko policzki wąskie. Piwne oczy, miękki głos. Pomimo wzrostu było w nim coś drobnego, jak u słonia, który potrafi się poruszać w składzie porcelany. Czarna wełniana czapka ciasno oplatała głowę, a on się uśmiechał.

– Czy rozmawiamy nieoficjalnie? – spytałem.

– Poufnie. Jak to się mówi? *Off the record*?

– Tak.

– Mam już tyle lat, że jednego zdążyłem się nauczyć.

Dziennikarze nigdy nie są *off the record*.

I tyle. Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie.

– Można wiedzieć, kto jest pana przełożonym?

Promienny uśmiech. Zero odpowiedzi.

– Od jak dawna pracuje pan w tym przedsiębiorstwie? – ciągnąłem.

– Od pierwszych odwiertów. Dwa i pół roku.

– Czy praca przebiega bez zakłóceń? Czy opady śniegu i zimno utrudniają pracę? Czy długotrwałe opady śniegu mogą spowodować kłopoty?

– Ach, to. – Kosola spojrzał w niebo, jakby dopiero teraz dostrzegł spadający śnieg. – W Helsinkach to na pewno wielkie halo. W mokasynach lepiej do nas nie przyjeżdżać.

Spojrzał na moje nogi. Skórzane botki wyglądały tutaj jak baletki.

– We wsi można się zaopatrzyć – powiedział przyjaznym tonem przewodnika wycieczek. – Jeżeli zamierza pan tu zostać.

Nie odezwałem się.

– A zamierza pan? – naciskał.

Już miałem coś odpowiedzieć, kiedy obok mnie wyrósł Rantanen. Przedstawiłem ich sobie. Zapytałem Kosolę, czy da się sfotografować.

– Lepiej nie – odparł. – Nie jestem fotogeniczny.

– Chciałbym to włączyć do artykułu o kopalni.

– A ja myślałem, że to pójdzie do rubryki o modzie. Mogę o coś spytać? Po co tu przyjechaliście? Siedziba głów-

na jest w Helsinkach. Wszyscy, którzy potrafią odpowiedzieć na wasze pytania, są tam.

– Właśnie dlatego. Właśnie dlatego jesteśmy tutaj.

Kosola przyglądał mi się chwilę.

– Dziękuję, panowie – rzucił w końcu. – Muszę już iść.

Odwrócił się i ruszył w stronę dyżurki.

– Jeszcze jedno! – zawołałem.

Zatrzymał się i obrócił.

– Na wypadek gdybyśmy mieli tu zostać – powiedziałem. – Pod jakim numerem można pana złapać?

– Komórkowy – odparł i podał numer, który natychmiast wklepałem. Wrzuciłem telefon do kieszeni i popatrzyłem tam, gdzie poszedł Kosola. Już go nie było widać, nawet śladów na śniegu. Z jakiegoś powodu przyszło mi do głowy zdanie z wiadomości.

Kopiemy sobie własny grób.

2

W zimny, wietrzny i śnieżny dzień stał na rogu Museokatu i ulicy Runeberga, wciągając powietrze głęboko w płuca.

Nowy Jork pachniał hot dogami i spalinami; Londyn – kanałami; Paryż – świeżym pieczywem; Berlin – olejem opałowym.

A Helsinki...

Ten niewinny zapach był jak zostawiony na mrozie wełniany sweter, na który ktoś nachlapał słonej morskiej wody i posypał go świeżymi świerkowymi igłami.

Zrozumiał, że tęsknił za swoim miastem bardziej, niż to czuł i przed sobą się przyznawał. To już trzydzieści lat, odkąd wyjechał.

Wtedy Helsinki były naprawdę małe i szare, z wierzchu i od środka. Zmieniły się nie do poznania.

Idąc ulicą Runeberga, oddalał się od śródmieścia. Te same ulice, te same kamienice. Tak znajome. Doszedł do parku, na którego skraju znajdowała się restauracja w sam raz na późny obiad. Tutaj też wszystko było po staremu: duże okna, nad nimi neonowe litery tworzące nazwę restau-

racji, w oknach ta sama nazwa, jakby pisana ręką dziecka, pękate e i malutka kropka nad i. Sala restauracyjna była do połowy pełna albo do połowy pusta, zależnie od punktu widzenia. (Stary test ze szklanką... Jak on by odpowiedział? Chyba tak, że w młodości szklanka zawsze była do połowy pusta i zawsze chciał w niej więcej. Dzisiaj miło było pomyśleć, że w tej teoretycznej szklance wciąż coś jeszcze jest i nawet jeżeli to tylko jej połowa, to zdecydowanie jest do połowy pełna. To zaleta starzenia się: wszystkiego jest wystarczająco dużo... oprócz czasu).

Zostawił płaszcz na wieszaku w szatni. O tej porze nikt tu nie dyżurował. Nie sądził jednak, żeby ktoś chciał się położyć na zwykły czarny męski płaszcz rozmiar czterdzieści osiem. Wybrał jeden ze stolików pod oknem i już wiedział, po co tu przyszedł: białe obrusy, masywne meble, obrazy na ścianach, skwerek za oknem. Teraz, gdy znów wszystko się zmieniało, trzeba było trzymać się rzeczy, które świadczyły o tym, jak kiedyś bywało.

Jedli kolację albo przy tym, albo przy sąsiednim stoliku, bliżej wysokiego baru przy drugim wejściu na salę. Przypomniawszy sobie okrągłą twarz Leeny, rumieniec wina w kieliszku i na policzkach, zakłopotanie, w jakie wprawiały ich wizyty w eleganckiej restauracji. Przypomniawszy sobie ciemne, niemal czarne włosy Leeny, zdenerwowane, piękne dłonie i tę młodość.

Zamówił stek z cebulą, Tauno Palo, nazwany tak na cześć popularnego aktora i stałego bywalca restauracji.

W północnej części sali kobieta i mężczyzna spożywali posiłek. Od razu było widać, że nie łączą ich więzy małżeńskie ani nic podobnego. Najwyraźniej koledzy z pracy.

Pracownicy biurowi. Piechurzy sprzedaży lub marketingu. Znów pomyślał, jak inaczej mogło potoczyć się jego życie.

Przyniesiono zamówienie. Zatopił widelec w steku, obtoczył go w cebuli i jasnobrazowym sosie śmietanowym i spróbował. Jeszcze lepszy, niż pamiętał.

Ktoś kiedyś powiedział, że młodość to zupełnie inny świat. To był ten świat i to miasto. Po raz ostatni widział Leenę, kiedy mieli po trzydzieści lat.

Po posiłku poprosił o listę deserów i w ciągu pięciu minut podjął decyzję.

Kelner zabrał talerz i wlał do szklanki resztę wody mineralnej. Coś w tych dwóch czy trzech ostatnich kroplach przypomniało mu o ostatniej sprawie. Coraz częściej tak się zdarzało: nawet najmniejsza błahostka powodowała dziwny stan umysłu, stan, do którego nie nawykł.

Krople: porażony prądem śnieżnobiały, pulchny mężczyzna w wannie, a w jego oczach karminowa krew.

Gdziekolwiek spojrzał, przeszłość budziła się do życia. Spróbował tego, czekając na kawę i deser. Podniósł wzrok, zobaczył białe tulipany w czarnym charakterystycznym wazonie i poczuł zapach, który przeniósł go na Malagę.

Lśniący białą dom z basenem na zboczu stromego wzgórza, on czeka w ogrodzie, w cieniu drzew. Zapach spokojnej nocy: róże, cyprysy, rozmaryn, sosny. Strzelba Remington Express wsparta o drzewo, Smith & Wesson M500 u pasa. Jedno i drugie to broń gangsterów; z własnej woli nie wziąłby tego nigdy do ręki, ale praca dyktuje warunki. Uznał, że to ma związek z narkotykami. Słyszy, jak nadjeżdża terenowe bmw, dźwięk silnika to się przybliża, to znów oddala. Kierowca przyspiesza, wspinając się po krętej drodze przez

wioskę, a warkot samochodu rozpruwa noc. Podnosi strzelbę i przeładowuje, ustawia się na schodach między domem a garażem. Wie, że światła samochodu nie zdołają omieść tego punktu. Terenówka okrąża podwórze. Zwalnia i zatrzymuje się. Silnik gaśnie, światła też. Jednym susem zbliża się na odległość trzech kroków do bmw, podnosi strzelbę i strzela. Przednia szyba pryska w drobny mak, pocisk masakruje ciało kierowcy. Strzela drugi raz i trzeci, odrzuca na bok strzelbę, obchodzi samochód, ściąga za duże obuwie robocze i zamienia na przyczepione do pasa adidas. Brnie w nich przez błoto, podchodzi do bmw od strony pasażera i oddaje pięć strzałów tam, gdzie jeszcze widać jakieś szczątki korpusu. Dwóch sprawców. Podnosi strzelbę, idzie na skraj lasu i znika. Tysiące kwiatów pachną mocniej niż kiedykolwiek.

Kelner podał crème brûlée.

3

Do Suomalahti wjechaliśmy powoli, a jednak niespodziewanie. Z początku nie dostrzegaliśmy związku między wyskakującymi przy drodze domami, ale kiedy na dobre wjechaliśmy do wsi, zrozumieliśmy, że coraz mniejszy odstęp między zabudowaniami nie jest przypadkowy i droga nieuchronnie prowadzi do samego serca „perły północnej Finlandii”. Na billboardzie brakowało kropek nad „i”. Może wiatr pomylił je z płatkami śniegu i porwał w głąb białego krajobrazu.

Powiedziałem do Rantanena, że zrobimy sesję zdjęciowo-wywiadowczą, dodamy artykułowi lokalnego kolorytu. Mój kompan skwitował to westchnieniem. Jechałem powoli. Bank, supermarket, Strzyżenie i masaż u Kaisy, kościół, Motory i skutery śnieżne – Hyvönen i spółka. Optyk, biuro pogrzebowe, hotel, Happy Pizza. Dzisiaj w ofercie wyblakła hawajska. Sklep ze sprzętem sportowym, podstawówka, Maija – Obiady domowe.

Koniec wsi.

Zerknąłem w lusterko wsteczne. Zero ruchu. Zawróci-

łem na ręcznym. Rantanenem zarzuciło, ale nic nie powiedział.

Wróciliśmy do centrum i zaparkowałem przed wejściem do sklepu ze skuterami śnieżnymi.

W środku pachniało nowością silnika. Po chwili harmonijkowe drzwi rozsunęły się i pojawił się w nich mężczyzna mniej więcej w moim wieku.

Włosy na jeża, potężne ramiona, szeroka klatka piersiowa opięta bluzą z podobizną lwa. Z okrągłej twarzy wyzierały niebieskie oczka. Przedstawiłem siebie i Rantanena. Mężczyzna powiedział, że nazywa się Hyvönen. Wyjaśniłem, że piszemy artykuł o kopalni.

– Ta kopalnia to dla nas prawdziwe zrządzenie losu – odpowiedział bez namysłu.

Przez chwilę kontynuowałem wywiad. Hyvönen zgodził się pozować do zdjęcia, jeżeli w tle będą widoczne skutery.

Fryzjer potwierdził opinię Hyvönera. Kopalnia to wspinała sprawa.

Wróciliśmy do samochodu. Rantanen uznał, że pora na obiad. Przejechaliśmy dwieście metrów i skręciliśmy w prawo na podwórze jednego z zabudowań. Maija – Obiady domowe. Na dole mieściła się restauracja, na górze mieszkanie.

Wszędzie było równie pusto jak podczas naszej czterdziestominutowej podróży z kopalni. Widzieliśmy tylko śnieg i las, pagórki i proste drogi. Jedyne wiatr nieustannie dotrzymywał nam towarzystwa. Kiedy wchodziliśmy po schodach, spojrzałem za siebie. Śniegu na metr, kolejna dostawa w drodze.

Weszliśmy do restauracji. Nad drzwiami tykał zegar;

przy żadnym z czterech stołów nikt nie siedział. Postanowiliśmy zająć ten przy oknie. Rantanen położył aparat na stole i wyciągnął z kieszeni wszystkie karty pamięci. Usłyszałem, jak idzie po schodach prowadzących do kuchni. Po chwili na sali pojawiła się kobieta, może Maija. Szybko osiągnęliśmy porozumienie w sprawie wiatru, śniegu oraz kotletów z dziczyzny i Maija wróciła do kuchni.

Rantanen przeglądał zdjęcia na małym wyświetlaczu w aparacie.

– Jest parę niezłych ujęć – odezwał się. – Damy radę.

Chciałem wiedzieć, czy mówi prawdę, czy tylko chce mieć temat z głowy. Poprosiłem, żeby pokazał mi część zdjęć, i niektóre były naprawdę dobre. Na stronę internetową trafi grafika i tylko jedno zdjęcie. Prawdopodobnie to z flagami powiewającymi wśród zamieci na pierwszym planie. Za nimi, niczym chore słońce, wznoszą się tereny fabryczne.

Maija – nadal przyjmowałem, że ta kobieta to właścicielka lokalu – przyniosła kotlety z tłuczonymi ziemniakami. Wszystko obficie polane brązowym sosem. Rantanen rozpiął kurtkę. Wełniany szary sweter, spod którego przebijała zielona koszula, opinał mu brzuch. Jedliśmy z apetytem i ustaliliśmy, że podrzucę Rantanena na lotnisko.

– Ty naprawdę zamierzasz tu zostać – dziwił się, chociaż już dawno to przedyskutowaliśmy.

– Chcę się trochę rozejrzeć.

– Nie dostaniesz się na teren kopalni.

– Ale kopalnia jest tutaj. Jeżeli coś jest na rzeczy, to jest to tutaj.

– Jakie to ma znaczenie? – zdziwił się Rantanen. – Jesteśmy na pustkowiu.